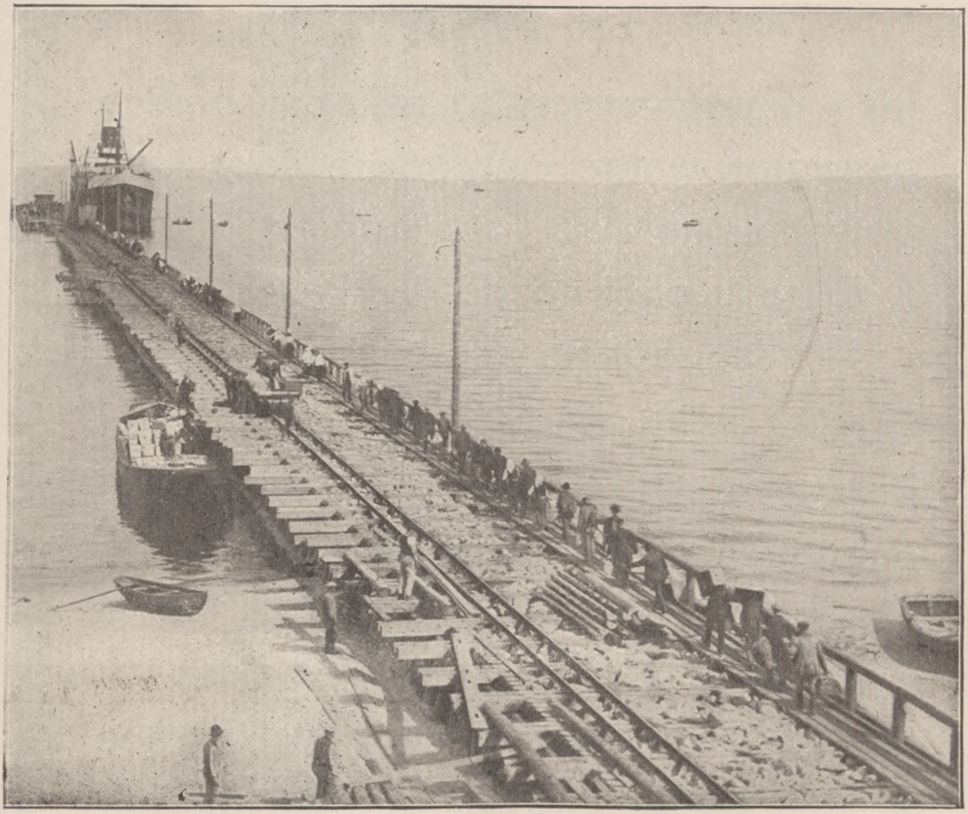
Rok VI. Nr. 10.

HARCERZ



MOLO W GDYNI.

HARCERZ

DWUTYGODNIK MŁODZIEŻY HARCERSKIEJ

ROK VI. 31 MAJ 1925. Nr. 10.

Modlitwa o czyste serce.

Królowo róż, co w wiejskim sadzie rosną
i mają w sobie blask porannych zórz,
duszę nam daj, jako ten kwiat radosną,
Królowo róż, Królowo róż...

O Matko pszczół, które na życia gody
najsłodszy miód zbierają z wonnych ziół,
Marzenia daj nam słodkie, jako miody,
o Matko pszczół, złocistych pszczół...

Królowo fal, co czyste i przejrzyste
z kwiecistych źródeł płyną w jasną dal...
Serca nam daj, jak leśne źródło czyste,
Królowo fal, błękitnych fal...

Juljan Ejsmond.

II. WSPÓŁCZESNE MAZURY.

Trudno jest dziś ustalić liczbę Mazurów pruskich, albowiem ostatnie statystyki — a w szczególności sporządzana w roku bieżącym — są wykonane tendencyjnie. Spis ludności z dnia 1 grudnia 1905 r. wykazuje w powiatach Ostródzkim, Niborskim (łącznie z Działdowszczyzną), Szczycieńskim, Żądźborskim, Janiborskim, Łeckim, Leckim, Oleckowskim i Węgoborskim ludności polskiej: w miastach 8974, po gminach wiejskich 212.412, w majątkach rycerskich, będących niemal wyłącznie w rękach niemieckich 21,725, ogółem 243,181, podczas kiedy ludność niemiecka wynosiła 179,048 głów. Z tej liczby duża część to tak zwani dwujęzyczni, używający polskiego na równi z niemieckim. Na emigracji, w szczególności w kopalniach westfalskich przebywało wielu Mazurów, przed wybuchem wojny stanowili oni $^1/_3$ część emigracji. Dziś według danych niemieckich 50 tysięcy Mazurów przebywa w Berlinie.

Statystyka młodzieży szkolnej z roku 1911 wykazuje:

niemieckich dzieci szkolnych	29.457,
polskich	14.695,
mazurskich	34.788,
niemiecko-polskich	5.658,
niemiecko-mazurskich	16.762.

Przyznany Polsce przez Traktat Wersalski bez plebiscytu powiat Działdowski liczy podług spisu z dnia 17 czerwca 1920 r. 24.074 dusz, osiadłych na 48.704 hektarach.

Dziś mimo coraz to silniejszej germanizacji i coraz to większego ucisku według odezwy nauczyciela Ruchatza, zamieszczonej w Królewieckiej Lehrer-Zeitung, a powtórzonej przez wszystkie pisma Prus Wschodnich, 50% dzieci mazurskich przychodząc do szkół zna tylko gwarę mazurską, 30% używa mazurskiego na równi z niemieckim.

Nie masz dziś ani jednej szkółki polskiej nawet na polskiej niegdyś Warmji i Powiślu. Na tych obszarach dla ludności polsko-katolickiej nauczają w 16 szkółkach po 2 do 4 godzin tygodniowo polskiego języka, istnieje nawet pozwolenie (ale tylko na papierze) na otwarcie gimnazjum polskiego w Olsztynie. Na Mazurach ewangielickich język macierzysty wyrugowany jest zupełnie. Dziatwie pod surową karą zabrania się rozmawiania po polsku, karząc za podobne „przestępstwa“, nie przebiera się w środkach. Znany jest system piętnowania po polsku mówiącego dziecka jakimś klockiem czy figurką wystruganą z drzewa, a noszącą nazwę „polaka“ lub „polskiego osła“, zmuszając ofiary do szpiegowania kolegów dla pozbycia się piętna. W końcu tygodnia ostatni napiętnowany odbiera cięgi. Głośno pisano w gazetach o podobnych zwyczajach panujących we wsiach: Waplewie, Wujkach, Jerutkach i innych.

Młodzież, która w ciągu okresu szkolnego germanizuje się, uczęszcza tylko na niemieckie kazania, stare zaś pokolenie, przywiązane do polskich kancjonałów (śpiewników) i postyll, w domach swoich odprawia modły, wysłuchuje przemówień domorosłych kaznodziejów, biegłych w pismie św. W ten sposób powstała sekta t. zw. „gromadkarzy“, dbających o niezwykle wysoki poziom moralny.

W południowej części Mazowsza, szczególnie na pograniczu polskiem mieszkają katolicy - mazurzy, stanowiąc 8—10% ogólnej liczby ludności, czyli około 35 tysięcy. Są oni potomkami późniejszych już kolonis-

tów. Niektóre wioski, mimo że należały do Królestwa Pruskiego, zaliczone były do parafji grajewskiej jeszcze w 19-ym wieku, chrzciły dzieci, zawierały śluby na terytorjum polskiem.

Do pomocy przy prowadzeniu skuteczniejszej germanizacji przez szkoły i kościoły stanęły organizacje antypolskie bojowe „Heimatdienst“, „Stahlhelm“, „Wehrwolf“ — oraz świeżopowstały zakon krzyżacki. Tropią owe organizacje wszelki odruch polskości, za rozmowę w języku mazurskim na ulicy, placu publicznym, otrzymują Mazurzy cięgi bądź od band zorganizowanych, bądź od pojedyńczych uzbrojonych w kije „patrjotów“. Śpiew polski, podobnie jak mowa, pociąga takież konsekwencje.

W sądownictwie sprawiedliwości szukanoby napróżno. Wystarczy, aby oskarżony zeznał, że oskarżyciel jest Polakiem lub polonofilem, zapewnił sobie bezkarność. Niemiec, którego Polak skarży za zniewagę lub okaleczenie, otrzymuje karę — 33 fenigów, o ile nie bywa zupełnie uniewinjony. Mazurowi natomiast, podejrzanemu o sprzyjanie polskości, lub Polakowi za najdrobniejsze przewinienie, przysądzają 6 miesięcy więzienia*). Bandy, złożone z kilkudziesięciu osób, demolujące domy Mazurów, bywają przez sądy uniewinniane. Dwaj synowie gospodarza Bogumiła Linki—zasłużonego działacza plebiscytowego, zabitego w r. 1920 przez bandę „patrjotów pruskich“ — skazani zostali pod pretekstem kłusownictwa na 11 i 12 lat domu karnego, przytem sędzia w wyroku specjalnie podkreślił „przestępstwo“ ich ojca.

Osiadły wśród wielkich rozlewnych jezior—wśród których najważniejsze: Śniardwy, Mamry, Lewiatyńskie, Nidzkie, Warszawskie, Dąbrowskie i wiele innych, skąd kraina otrzymała nazwę „kraju tysiąca jezior“—lud mazurski bogato upasażony był w przywileje gospodarcze, jako to wolne rybołówstwo, wolne paśniki oraz obszary leśne, dziś ograbiony jest ze wszystkich bogactw przyrodniczych, oddany na łaskę i niełaskę swych władców i ciemiężców niemieckich, którzy, pragnąc do reszty wyrugować lud z jego piaszczystych, pełne granitowych brył, pozostałości pralodowca — osiedlają tam, na najżyźniejszych połaciach niemców kolonistów. Wszelkie spółki handlowe, banki i inne t. p. instytucje znajdują się wyłącznie w rękach obszarników niemieckich. Lud mazurski zupełnie jest nich zależny, aby uzyskać pomoc, zmuszony jest wypierać się publicznie swej narodowości. Nie czyniący tego, jest przez prusaków w różny sposób bojkotowany. Jeśli na kogoś padnie podejrzenie, że jest polakiem lub że brał udział w akcji plebiscytowej— która ze strony polskiej dla teroru niemieckiego nie była możliwą — wtedy uważają go za wykluczonego poza nawias społeczeństwa: posypią się nań kary administracyjne, ogłoszą go w nacjonalistycznych gazetach, a wtedy każdy, nawet przyjaciel, który nie chcę na swą głowę ściągnąć podejrzenia, unika nieszęsnego. Nie dość na tem, — bandy „Stosstrupplerów“ napadają dom, strzelają z za węgła, a wówczas rodzina potępieńca zmuszona jest uciekać poza granice. A wtedy nowa trudność: nie może się wyzbyć nieruchomości, zatrzymują mu niekiedy do 80% własności na zasadzie spejalnego prawa wojennego i tak dalej...

Urzędników lub nauczycieli za tak

*) Stan. Sierakowski. Denkschrift des Verbandes der nationalen Minderheiten in Deutschland.

naturalny objaw jak interesowanie się sprawami rodzimemi, czytanie pism polskich przenosi się z Prus „służbowo“ do wewnętrznych prowincyj niemieckich. W celu izolowania Mazurów od wpływów polskich, wszczęto w ostatnich miesiącach energiczną kolonizację wzdłuż granicy.

Nazwiska zamieszczone na szyldach we wszystkich miastach Prus Wschodnich wskazując na polskie pochodzenie ich właścicieli, w Królewcu zatarto wszelkie ślady polskości, zamknięto po archiwach i bibljotekach, nazwa „polnische Schulstrasse“ stała się tylko pomnikiem, na grobie świętości polskiej — zapanowała niemieckość.

Zdala jednak od miast, w wioskach, o starych polskich nazwach, w chatach zdobionych rzeźbami, pod strzechami słomianemi, na skraju szumiących puszcz, wśród jezior i moczarów — przechowały się stare tradycje przodków, zwyczaje, zabobony, przysłowia, przetrwał język „złotych czasów“, język Reja i Kochanowskiego, zaklęty w pożółkłe postylle i kancjonały, najulubieńsze księgi Mazurów.

Słyszy się jeszcze owe piosenki o tem, jak to — „w ciemnym lasku ciemnym słowiki śpiewają, mojemu najmilejszemu konika siodłają“, lub też jak te „wypłynęła rybka z bystrego jeziora, płakała dziewczyna z ranka do wieczora“, o „koniach bronnych“, o nieszczęsnej sierocie, co jej „chleb krajali, jak klonowy listek, jeszcze się pytali, czy go zjadła wszystek“. Powszechnie znana jest stara pieśń żaków:

„Kto da dziatkom w nauce wychowanie,

„To lepiej, niżby zbierał skarby na nie“.

a także pieśni żeńców:

„Pola już białe, kłosy się kłaniają,

Stworzycielowi pieśń i chwałę dają“.

Przechowały się niektóre tradycyjne obchody, jak to dożynki, a dziewczęta po każdej przez siebie skomponowanej strofce śpiewają refren „Plon niesiem plon“ i t. d.

Legendy, klechdy i baśnie mazurskie wiele mają pierwiastku polskiego. I tak gospodarz Konopka ze wsi Ogonek, co z djabłem wojował, wydaje się być rodzonym bratem mistrza Twardowskiego, polską jest owa wiejska dziewoja przędząca złoto ze słomy, a poślubiona księciu, polską jest karczmarka z Nakomiad, którą djabeł w czarną kobyłę zamienił, wreszcie szczerze polskiemi są owe legendy, które oplotły wiekopomne zwycięstwo pod Grunwaldem.

Krajobraz mazurski ma wiele wspólnego z krajobrazem sąsiednich ziemi polskich—to dalszy ciąg borów Tucholskich, ziemi Kaszubów i Puszczy Kurpiowskiej. Wymową swoją Mazur przypomina Kurpia, mówiąc „bziały“ zamiast „biały“, „ziara“, zamiast „wiara“, „psienądz“ zamiast „pieniądz“. Cokolwiek odmienna jest wymowa warmiaka i mieszkańca powiśla. Chałupy, budowane na zrąb, szczytem, sparogami, okiennicami i ogólnym charakterem przypominając chaty kurpiowskie. Badacz niemiecki, prof. Krüger w swojej rozprawie o domu mieszkalnym warnińskim przyznaje, że chata taka trzyma się pierwowzoru słowiańskiego. Nazwy wiosek porozrzucanych nawet w powiatach królewieckich i głąbińskich przetrwały w dawnem swem brzmieniem, jak Olszówka, Brzozówki, Wierzbowo dodano mi tylko końcówki „en“ lub zamieniono “owa“ na ,,au“. Nazwy miast, tak niemieckie, zda się, jak „Neidenburg“

i „Weilburg“ są według Oskara Kolberga polskiego pochodzenia; Nibork to polski Niedzbórz, Niedzborek, Niborek, Wilbark - Wielkobórz. Zresztą końcówka „burg“ w Prusach Wschodnich pochodzi od słowiańskiego, „bór“ czyli sosnowy las*)

W tych wioskach mazurskich, szczególnie na pograniczu Warmji powstają koła ludzi uświadomionych, którzy zaczynają pracę nad ludem „Powstało Zjednoczenie Mazurskie“ i „Towarzystwo Młodzieży“, w Szczytnie wychodzi od 2 lat pismo „Mazurski przyjaciel ludu“, przedostaje się też „Gazeta Mazurska“, wydawana dla Mazurów działkowskich, rozchodzi się kalendarz, broszurki, wszystko jednak drukowane gotykiem, czyli t. zw. „krakowskim szryftem“ na intencję pierwszego drukarza książęcego Maleckiego z Krakowa, Warmja jednak zna tylko łacińskie czcionki, takiemi drukuje się „Gazeta Olsztyńska“.

Niemcy widzą i czują, że coś się w Prusach dziać poczyna, podnoszą alarm, że temu winno oderwanie Rzeszy (Prusy były zawsze kolonją, nigdy nie należały do starego cesarstwa niemieckiego, upadłego 1806 r. Nie należały z racji swego kolonjalnego charakteru nawet do federacji niemieckiej, która istniała od 1815 do 1866 r.) Dopiero w 1867 zostały wcielone do „Deutsches Reich“. Po wojnie franko-pruskiej dzięki kontrybucji, którą na podniesienie „kultury“ niemieckiej przeznaczono, podniosły się i zrównały, jako integralna część Niemiec.

Nienawiść Prusaków do wszystkiego co polskie staje się co raz większą obawa przed odrodzeniem żywioła polskiego w Prusach, spędza sen z powiek „patrjotów“. Dlatego tak rozpaczliwie woła w swej zeszłorocznej odezwie nauczyciel Ruchatz.

„Tak, jak się warunki na Warmji i Mazurach przedstawiają, wystarczy jeden rok okupacji polskiej, oby Bóg nas od tego strzegł — a niemczyzna w kraju granicznym zniknie“,

O tem i Polska pamiętać powinna.

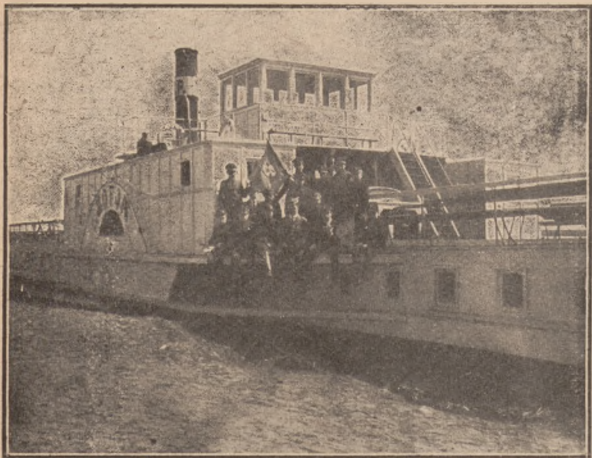
Emilja Sukertowa.

*) Oskar Kolberg. Mazowsze IV. str. 73.

U SKAUTÓW RZYMSKICH.

Dostałem właśnie list od jednego ze swoich zastępowych, w którym mnie prosi o lilijkę polską i (co za śmiałość! — widocznie czuje się bardzo bezpiecznym na tak daleki dystans, że sobie śmie drwić z drużynowego) pisze, że pewnie teraz w Polsce opowiadam o skautach włoskich, że są bardzo dzielni, karni, pracowici!!!!!! (sześć wykrzykników), tak, jak im w Rzymie zawsze stawiałem za wzór polskich harcerzy. Otóż mylisz się, mój Carlo, bo muszę wyznać, żeście tosamo warci, co polscy chłopcy, tylko u was przy południowym temperamencie cnoty i wady wyraźniej występują. Taką przemądrzałą i niespokojną gromadę, jak trzecia drużyna rzymska, z trudem znalazłbym w Polsce. Na dworze to jeszcze pół biedy, ale kiedy tak czasem w niedzielę rano zbiórka była naznaczona, a deszcz zaczął padać, to godzinę, półtorej, można ich było zatrudnić, ale potem, jakby zły duch we wszystkich wstąpił, podrygiwali

na ławkach, ręce i nogi latały, śpiewając darli się, jak dzieci szatana, przewracając śmiejącemi oczami, że instruktorzy byli bezradni, jak kura,



której kaczątka wypłynęły na rzekę, a sama niespokojnie biega po brzegu.

Na szczęście takie rozbrykane chwile należały do wyjątków, bo zwykle byliśmy w najlepszym porządku. Co prawda trudnoby było żądać od nich przy zbiórkach tej uroczystej powagi i spiżowej nieruchomości, jaką się u nas spotyka na apelach i raportach. Ale widząc na własne oczy, jak na placu musztry żołnierz strofowany tłumaczy się oficerowi: „Ma senta...“*) z odpowiednią giestykulacją, nabrałem stąd przekonania, że Włoch prędzejby umarł, zanimby się przyzwyczaił do polskiej, albo niemieckiej dyscypliny.

Natomiast inicjatywy ma może więcej; nie nudzi się nigdy, bo sobie znajdzie sam zatrudnienie. Ma wielką swobodę w obcowaniu, co mu niestety pozwala pędzić godziny całe na pogawędkach, patrząc, jak inni pracują. Ale, żeby Włosi byli leniwym narodem, temu muszę zaprzeczyć. Tam praca w winnicy czy w polu jest mozolniejsza niż u nas, bo równa się ogrodowej. Sklepy i warsztaty są czynne od świtu słońca do późnego wieczora, niestety nieraz i w niedzielę. A robota idzie od ręki! Moi chłopcy, jak się zabrali do dzieła, to praca aż paliła się pod rękoma i nie potrzeba było wiele wskazówek, bo byli zgrabni i pojętni, nie czekali, aż im się łopatą coś wbije w głowę, ale informowali się sami i szukali własnych dróg. Potrzeba tylko było silnej zachęty i wielkiego wysiłku, aby zapał nie zgasł. Wtedy wielu odpadało, ale ci, którzy wytrwali, dochodzili wkrótce do wielkiej perfekcji i zadziwiali swojemi dziełami zawodowych rzemieślników i artystów.



Gdy po kilkomiesięcznej podróży po Arabji i Egipcie wróciłem do drużyny, zastałem warsztaty pyłem po-

*) Mniejwięcej: „Ależ panie!“

kryte i zdewastowane. Zaraz po moim wyjeździe zaczęła się była wojna domowa. Proboszcz parafji i pan domu rozporządził, że w niedzielę rano będzie nauka religji, a jedna niedziela w miesiącu miała zostać wolną na większe wycieczki. Nie wchodzę w to, czy miał rację, w każdym razie miał do tego, wedle statutu A.S.C.I., prawo. Wykład religji nie jest we włoskich szkołach uregulowany, jak u nas, a jedynie w niedzielę można było ludzi zebrać. Drużynowy, porządny człowiek, ale wielka gorączka i nietęgi dyplomata, razem z innymi zrobił rewolucję, a widząc, że nic nie wskóra, bo i naczelnictwo było przeciw niemu, wycofał się z pracy i zostawił znów na barkach polskich wielki bałagan. Józef Piotrowski pchał pracę dalej; syn inżyniera,





składa w lecie maturę, wykapane Włoszątko, z polską mową trochę kiepsko, ale serce prawdziwie polskie. Kiedy to powstańcy górnośląscy trochę włoskich żołnierzy natrzaskali i wielkie było z tego powodu na Polskę oburzenie, nie wyłączając drużyny, odpowiedział kolegom: „Po co tkacie swoje palce między drzwi? Wy Włosi zawsze się Niemcom przymilacie, my Polacy idziemy z Francją. Jak przyjdzie do wojny, to zobaczycie, jak was polscy żołnierze nabiją!" Poszli o to naskarżyć na niego do ojca.

Podczas ogólnego wzburzenia umysłów przeciw zamachowi władzy duchownej na wolność drużyny wymyślił ktoś do mojej piosenki na melodję: „Wrony konik w lot biega" na ks. proboszcza zwotkę: „Nostro Padre Trani, Trani, Trani ci tratta come i cani, cani, bum!" *) Śpiewkę tę, zaczynającą się od słów „Nostro Padre Tobia, Tobia, Tobia rovina la sotana, sotana, bum!" chłopcy chętnie śpiewali. Ma ona już kilkadziesiąt zwrotek, bo na każdego z dru-

---

*) Nasz O. Trani traktuje nas jak psów.

żyny ułożony jest osobny wierszyk. Ojciec Tobia, kapelan albo raczej matka drużyny, najstarszą i najcharakterystyczniejszą jest w drużynie osobą. Wysoki, o smagłej twarzy, włosach kruczych, srebrem przyprószonych i oczach żywych, zawsze wesoły i czynny, jest duszą drużyny i całego młodego towarzystwa, kręcącego się około wielkiego podwórza kościelnego. Ma tam nieraz swój ciężki krzyż, chciał już abdykować, ale w końcu musiał zostać, bo gdzieżby tam można znaleźć drugiego Padre Tobia! Gdy się instruktorzy w kwestji formalnej czy materjalnej pokłócą, któż, jeżeli nie on, uratuje sytuację. Na wycieczkach, obozach wędrownych poprzez skały i zarośla nikt mu pieszo nie dorówna, a zawsze chodzi w sutannie, która potem nieraz odpowiednio do drogi przebytej opada w strzępach, stąd wierszyk w niego celujący

Na ogół melodje polskie dla Włochów są za smętne i rozwlekłe. Zrobiłem im śpiewkę na melodję „Tam na górze jawor stoi" o wilczku, co umiera i prosi matkę, żeby go na pogrzeb ubrała w mundur harcerski, a wkońcu pyta czy aniołkowie w niebie też są skautami i czy z niemi będzie mógł iść na wycieczkę. Powiedzieli mi chłopcy, że jest taka smutna, że ją tylko będą śpiewali na pogrzebie, jak który ze skautów umrze. Lepszem powodzeniem cieszyła się piosenka „Se la vita vnoi godere". „Jak to na wojence ładnie". Prof. Marza, główny motor Naczelnictwa, mówił mi, że kiedy ją czytał w domu żonie, musieli się śmiać do rozpuku. O efekcie ostatniej piosnki posłanej już listownie na melodję: „Hej tam pod lasem" jeszcze się nie dowiedziałem, choć za nią podziękowali pięknym listem, pod którym wszyscy się podpisali z odpowiednią ilością plam atramentowych. Z różnych oznak grafologicznych wnioskuję, że się przy tym ważnym akcie pobili o pierwszeństwo.

Włoskich piosnek harcerskich jest stosunkowo do ilości naszych bardzo mało, jak wogóle Włosi celują w sztucznym, operowym śpiewie, a ludowych, żołnierskich śpiewek mają niewiele i do tego dosyć jednostajne, choć znajdują się między niemi śliczne, a przedewszystkiem niezmiernie żywe i pełne werwy. Miejsce naszej uroczystej „Roty" zajmuje nerwowy dwuczwartkowy marsz „Passa la gioventie", który przerobiłem do naszego użytku p. t. „Skauci tak maszerują". W innej melodji „Tam pod Mefkingiem" zdołałem umieścić całe prawo harcerskie od A do Z ku wspomożeniu pamięci tych, którzy nie mogą go sobie inaczej wbić w głowę, albo o niem w codziennem życiu zapominają. Wreszcie świeżo oddaję do ogólnego użytku i polecam opiece publiczności piosnkę zaczynającą się od słów: „Lilijkę srebrną, co my nosimy za znak herbowy", gdzie to każdy kawałek garderoby harcerskiej, rynsztunku, zawartość kieszeni i t. d. w rytmach jest uczczony. Komu ona nie wydawała się jeszcze dosyć długą, temu zostawiam do woli uzupełnić ją improwizowanemi wierszami, byleby były przyzwoite. Wystarczy ona w marszu na kilka kilometrów. Może Szanowna Redakcja zechce te dzieci zrodzone pod błękitnem włoskiem niebem wypuścić trochę na świat z dusznej szuflady.

Paulus.

Nie traćmy chwili.

Życie jest krótkie, nie traćmy chwili,
Bo raz stracona, nie wraca już.
Wzniesione czoło niech się nie chyli
Pośród życiowych wstrząśnień i burz.

Kiedy w umyśle zamiar powstanie,
To go niezwłocznie wcielajmy w czyn,
Bo gdy się w duszę wkrada wahanie,
Rozczepia wolę, jak ostry klin.

Kiedy pracować potrzeba szczerze,
To się do pracy zabierzmy wraz,
Gdy trzeba ofiar, nieśmy w ofierze
Rozum i serce, siły i czas.

Gdy mamy kochać, to już bez granic:
Miłość prawdziwa nie zna, co kres;
Kto szczerze kocha, nie zważa na nic
I śmiało płynie przez morze łez.

Kiedy nas hasło wezwie do boju,
Kiedy potrzeba chwycić za broń,
Z odwagą w sercu, bez niepokoju
Wznieśmy do góry orężną dłoń.

Ostrożnie z ogniem! — wołają starzy
I marszczą groźnie krzaczastą brew.
Lecz myśmy młodzi, żar nas nie parzy,
Bo w naszych żyłach gorętsza krew.

Walczmy, pracujmy i sercem całem
Kochajmy życie, pracę i bój.
I przy zabawie pijmy z zapałem
Pełnemi usty uciechy zdrój.

Jak różnobarwnych roje motyli,
Krążmy nad wonnym kielichem róż...
Życie jest krótkie, nie traćmy chwili,
Bo raz stracone, nie wraca już.

Aleksander Mogilnicki.

MÓJ SEN NA WARCIE.

Las...

Prastary polski bór, pełen tajemniczości i uroku. Noc ciemna i głucha. Hen—nad drzewami widnieje niebo, iskrzące się miljardem migotliwych gwiazd.

Zza widnokręgu wychyla się roześmiana twarz księżyca. Kroczy po nieboskłonie z powagą, jak przystoi na władcę — widocznie zadowolony, że wszystko w jego państwie jest jak należy.

Powoli, poważnie płynie. Wielkiemi oczyma obejmuje leśną u jego stóp ziemię.

I czuję, jak pada jego wzrok na namioty braci harcerskiej, która zjechała się tutaj ze wszystkich zakątków ziemi polskiej, aby hartując swe ciało i ducha, zaprawiać się do ciężkiej pracy dla dobra wielkiej służby.

Wokół panuje cisza uroczysta, przerywana jedynie od czasu do czasu hukaniem sowy.

Stoję na warcie i czuwam... Serce moje rozpiera dziwna jakaś tęsknota i duma zarazem. Oto czuwam nad dziesiątkami braci moich, harcerzy i jestem odpowiedzialny za ich bezpieczeństwo.

Za lada silniejszym podmuchem wichru zamieniam się cały w słuch i patrzę w mroki lasu, czy wróg się jakiś nie zbliża...

— Lecz nie — cisza panuje niezmącona.

Wsłuchany w szmer lasu, upojony parną lipcową nocą i tym zapachem żywicznym, jaki wydzielają pnie drzew... zacznam marzyć...

— — — — — — — — —

I zdało mi się, jakoby na polanę zjechały się zbrojne hufce skrzydlatych rycerzy, zakutych całych w żelazo, na koniach—olbrzymach, również okrytych pancerzami.

W promieniach księżyca stalowe ich zbroice tak zajaśniały, że mimowoli oczy mrużą się od oślepiającego blasku.

Poszum drzew ustał. Słychać tylko chrzęst pancerzy, łopotanie proporców i parskanie koni.

Już są wszyscy — każdy się stawił na wezwanie wodza, czy to od wschodnich rubieży, czy od sinego Bałtyku, lub Tatr niebotycznych. — Jego tylko niema.

Więc czekają nań.

Nagle... jakgdyby na jakiś tajemniczy rozkaz poruszyły się ich zastępy... zaczęli się szykować.

Stanęli w krąg polany, w środku zaś o dziwo — łopoce się dumnie na maszcie nasz sztandar harcerski, wokół zaś, zatknięte w ziemię, szumią na drzewach rycerskie proporce.

I nagle... w miescu gdzie las był najgęstszy, rozstąpiła się żelazna ściana husarji. Na wspaniałym rumaku, w złocistej zbroicy, dzierżąc w ręku miecz—ów szczerbiec, który niegdyś był postrachem wrogów, wjechał otoczony orszakiem skrzydlatych rycerzy, Chrobry.

I zdało mi się, że poznaję owe marsowe, mieczami wrogów posiekane oblicza.

A ów—najpotężniejszy, najmożniejszy z pośród nich, ów pogromca Kijowa i Niemców, zajechawszy na miejsce, gdzie widniał maszt ze sztandarem naszym, przyłożył rękę do czoła...

I wówczas rozległ się wśród nocnej ciszy chrzęst przejmujący do głębi duszę. Jakby na znak, wysunęły się z pochew stalowe miecze rycerzy, na pozdrowienie tego sztandaru na

Zatonęłam wzrokiem w odmęcie wód i zdaje mi się, że mogłabym tak patrzeć, patrzeć bez końca.

Ostatniemi promieniami kładło się słońce na falach. Szarozielona ich barwa powoli bladła, zieleń ustępowała powoli, powoli, krok za krokiem, jak cofająca się przed barwą inną, potężniejszą. Zdało mi się, że roztacza się przede mną perłowo-szara masa, której ostatnie, ostatnie promienie dobywały mieniące się co chwila różowawe odblaski.

Z tego półsnu zbudziły mnie druhny.

I wtedy dopiero uświadomiłam sobie, że oto wśród tej gromadki Polek niema ani jednej, którąby czuła lęk przed potężnem morzem, czyłyśmy, uczestniczył nasz cały naród w jego dobrodziejstwach.

Ach, jak łatwo, jak szybko myśli się na morzu, pod wpływem morza.

Żal mi tylko jednej rzeczy.

Już w Warszawie wyobrażałam sobie ile to nowych, potężnych przerzyć doznam w czasie burzy morskiej. (Na chorobę morską byłam i tak przygotowaną). Ale zobaczyć burzę, widzieć własnemi oczyma straszne zmaganie się żywiołów, czuć jak okręt, niby łupina, broni się tylko to przed wiatrem, to przed wichrem potężnym, to przed atakiem wielotysiącznych fal — a nigdy atakować nie może, czuć to wszystko i widzieć i być świadkiem tej walki, to dopiero rozkosz.



W obozie.

że pośród nas w olbrzymiej większości pierwszy raz mierzących się z tym bezmiarem fal nieznane jest uczucie strachu, że patrzymy w morze jak na dobrego starego przyjaciela.

Wszak dzisiaj i my mamy swoje morze i nasz naród wydostał się na ten olbrzymi gościniec wyścielony poprzez ogromne przestrzenie, aby najłatwiej i najprzystępniej połączyć różne narody świata.

Lecz skoro nie odzywa się w nas przestrach przed nim — więc chyba już w prastarych czasach uczestni-

Tymczasem morze było spokojne, ciche, łegodne.

Lecz — chociaż żal mi, że nie wzbogaciłam się o to jeszcze doświadczenie—nie mam żalu, ani do ciebie nawet, ukochane morze.

Bo wskazałeś mi inną potęgę — potęgę ciszy i pokoju, potęgę łagodności i tej niezrównanej pogody, jaką siejesz w dusze, jaką koić możesz — wierzę w to — wszystkie bóle i goić każdą ranę.

Jest naprawdę balsam przedziwny w tej przedwieczornej, wielobarwnej, cichej masie wód.

IV.
LONDYN.

I znowu przeciągły gwizd.

Powoli zbliża się okręt do brzegu. Już brzęczą łańcuchy, już widać surowe budynki nadbrzeżnego Folkiestone.

Za chwilę przyjmuje nas gościnnie ziemia Wielkiej Brytanji.

Wprost z okrętu udajemy sie na stację kolejową i w kilka godzin jesteśmy w Londynie.

Z hukiem wjechał pociąg na gwarną stację. Wpadłyśmy w ruch szalony na dworcu, przed dworcem i jakby przerażone hałasem ludzi, wyciem syren samochodowych, gwizdem pociągów—zbiłyśmy się w gromadkę. Całe szczęście, że druhna Oleńka (w czasie podróży można nawet z wielkiemi szarżami poufalić się) czuła się w Londynie, jak u siebie w domu. Dyrygowała nami — to zrozumiałe, autami — za to się płaci, policjantami—widać czuli władzę przed sobą.

Więc za chwilę znalazłyśmy się we spaniałym mieszkaniu znajomych druhny Olgi.

Widać spodziewano się tu nas. Chociaż gospodarze byli nieobecni, ich ochmistrzyni czekała na nas z kolacją.

Byłyśmy oszołomione zbytkiem, panującem w domu. Kiedy zaś druhna Olga oświadczyła nam, że gospodarze są przeciętnie zamożną rodziną mieszczańską, nie mogłyśmy wyjść z podziwu nad materjalnemi bogactwami Anglji. A chociaż to brzydko, muszę jednak przyznać się—z zazdrością myślałam, dlaczego to nasze mieszczaństwo nie jest takie bogate.

Tutaj jedna rodzina, złożona z 6 członków zajmuje cały, trzypiętrowy dom a u nas szczęśliwymi nazywa się tych, którzy mają dla swej licznej rodziny 5-cio, 6-cio pokojowe mieszkanie. A takich mebli, dywanów, luster, saloników, wspaniale urządzonych, sali balowej, gabinetów—nie spotyka się prawie w miastach, chyba w starych dworach, kryjących w sobie dorobek kilku pokoleń.



Wystawa w Wembley.

Wyszłyśmy na zalane światłem ulice. Zrozumiałyśmy tutaj, co znaczy wir wielkomiejski. Porwała nas fala, płynąca jedną stroną ulicy i ciągnęła naprzód i naprzód.

Pośrodku ulicy stoi majestatyczna postać policjanta, w świecącym kasku, w białych rękawiczkach. Oto kierownik i władca ruchu ulicznego. Kiedy podniesie przed siebie rękę, szereg samochodów, automobilów

staje w milczeniu, kiedy ją spuści, wyciąga się ten długi sznur i podobny do węża zaczyna posuwać się naprzód prędko, gwałtownie. I wtedy napróżno chciałbyś przejść z jednej strony ulicy na drugą, gdyż auta jadą i jadą i niema im końca ni przerwy.

Późno już było, gdyśmy doszły do pomnika na cześć Nieznanego Żołnierza. Stoi on pośrodku ulicy o bruku gumowym, nie jak wszystkie inne betonowym, stoi poważny, zalany potokiem światła, które zlewają się nań ze wszystkich stron — jak promienie uczucia serc wszystkich.

Stąd niedaleko mostu na Tamizie.

Ogromnie długo trzeba się wspinać na szczyt wieży. Wreszcie z krętych schodków wydostałyśmy się prawie na sam wierzchołek. Spojrzałam w dół. Hen, daleko, jak okiem sięgnąć, strzelają wieże i rościelają się olbrzymie masy domów. Oko przeskakuje z jednego bloku murów na drugi, pędzi dalej i dalej i niema końca tej szarej masy budowli ludzkich.

Czyste — co niesłychanie rzadko zdarza się w Londynie — powietrze pozwala sięgnąć aż w najdalsze dzielnice tego miasta — olbrzyma, skupiającego w sobie 8 miljonów ludności.



Skautki hinduskie.

Zatrzymałyśmy się tutaj. U naszych stóp płynęły ciemne fale, cicho odzywając się nieśmiałem pluskaniem. A nad brzegiem dumał poważnie staruszek—parlament, pracujący od wieków dla dobra i wielkości Anglji. Z wysokiej jego wieży błyska światło na znak, że on czuwa, że patrzy i mimo nocnych ciemności nie przerywa pracy.

Uzupełniłyśmy swe wrażenia w drodze powrotnej.

Widziałyśmy już Londyn w godzinach wieczornych, patrzyłyśmy na niego z dołu—teraz przy świetle dnia spojrzałyśmy na niego z góry, z wieży katedry Św. Pawła.

Dopiero w tej chwili uświadomiłam sobie, że oto pośród tych niemych głuchych zabudowań wre całą potęgą życie Europy, Azji, Ameryki i Australji, gdzie rozrzucone są dominja Wielkiej Brytanji, że w jednym Londynie pomieścić można 50 razy Kraków, 40 razy Lwów, 70 Wilno i Poznań, a 8 razy Warszawę.

Cienkiemi nićmi biegną w różne strony świecące asfaltowe ulice, a omnibusy i auta na nich wydają się dziecinną zabawką. Ich zaś twórca —człowiek przypomina raczej małą, drobną, niedołężną muszkę, niż pana i władcę ziemi.

Poznałyśmy też wspaniałą Ka-

tedrę Westminsterską, zbudowaną w stylu gotyckim. Przy ścianach bocznych naw stoją posągi zasłużonych ludzi. W dawnej Kaplicy Królewskiej obecnie nabożeństwa nie odprawiają się. Tron Koronacyjny oparty na kamieniu druidów, jest już ogromnie zniszczony. Ku naszemu oburzeniu poryty nazwiskami zwiedzających.....

Dookoła jednej z kaplic u góry wisi kilkadziesiąt chorągwi z herbami tych, którzy dostali od Króla za swe zasługi order Podwiązki.

Narodową galerję obrazów zdołałyśmy tylko przejść. Są tam cudowne rzeczy.

pozostawiona niektórym zwierzętom. Niestety niektórym. Męczy się biedny orangutang w ciasnej klatce. Wyraz oczu ma tak mądry, tak ludzki, a taki smutek z nich bije. Podaje rękę i ściska, jak człowiek. Męczą się wielbłądy, biegnąc w kółko po niewielkiej przestrzeni, i wspominają pewno rozległą pustynię. Słonia za to nigdy dobry humor nie opuszcza, wymachuje wesoło trąbą. Skaczą zadowolone z siebie małpeczki, huśtają na linie, przewracają koziołki. Kozy, antylopy skaczą po skałach, mają specjalne sztuczne góry urządzone. Foki z zadowoleniem pławią się w dużej sadzawce.



Wystawa w Wembley.

Obrazy najsławniejszych malarzy wszystkich szkół.

Wspaniałą jest biblioteka przy muzeum Brytyjskiem. Prócz całej angielskiej literatury zawiera cenniejsze dzieła wszystkich narodów.

W muzeum obejrzałyśmy stare, świetnie zachowane, wykopaliska greckie i rzymskie, maczety dawne i mumje egipskie, wszystkie gatunki szkieł i porcelany. Na zwiedzenie dokładne całego muzeum kilku dni potrzeba, a teraz umysł nasz wprost już nie przyjmował nowych wrażeń.

Natomiast łatwiej było zwiedzić ogród zoologiczny. Jest on ogromny, wspaniale urządzony i utrzymany.

Miłe wrażenie sprawia swoboda,

Olbrzymi jest tu ogród, a znajdują się w nim, chyba z małemi wyjątkami, wszystkie istniejące stworzenia. (Rozrzewnił nas żubr z puszczy Białowieskiej, rodak).

Ile to pieniędzy i pracy pochłania utrzymanie tego wszystkiego.

Dziwne wrażenie wywołuje Londyn.

Z początku z podziwem patrzy się na jego ogrom, na ten szalony wprost rozruch, zdaje się, że dla ludzi jego nie istnieją przeszkody przestrzeni, że pokonali je i wzięli w swe władanie.

Ale ten podziw rychło ustępuje miejscu ciekawości, chęci poznania i tych starych, poważnych zabytków

którym jaśniał w świetle księżyca z jednej strony krzyż i lilja, z drugiej Orzeł srebrnopióry.

Po chwili wódz spuścił dłoń — schowały się miecze do pochew. A zwróciwszy się do husarzy, głosem donośnym przemówił:

„Oto ziściło się tyloletnie marzenie nasze, że orły młode wylecą z gniazda i zaprawiać się będą do walki z sępami. A czujne ich oko będzie zawsze baczyło, czy gdzieś na krańcach Rzeczypospolitej nie zjawia się zuchwały wróg.

„I biada temu, któryby się odważył najechać ojczyste granice. Szponami, zaprawionemi od młodości do walki, rozedrą każdego przeciwnika.

„Po raz ostatni dzisiaj wstaliście na głos mego rogu. Znalazłem pokolenie młodych orłów, które nas zastąpi w służbie Matki—Ojczyzny! Chociaż nie w zbroi będą chodzili, tylko w zielonej koszuli, z żelaznym krzyżem na piersiach miast tarczy, a zamiast mieczy, dłoń ich dzierżyć będzie stalowy młot pracy, którym wykuwać będą przyszłość narodu. Serce ich będzie otwarte dla każdego prawego człowieka, lecz biada temu kto z fałszem i obłudą w sercu, a pozorną przyjaźnią na obliczu dłoń do nich wyciągnie.

„Na ich barki młodzieńcze, składamy nasz ciężki i żmudny obowiązek, który oni spełnią bez szemrania. A gdy Ojczyzna znajdzie się w potrzebie, wówczas ów młot zamieni się w prawicy ich na mój szczerbiec, na tysiące szczerbców i żaden wróg ich nie zmoże."

Marsowe oblicza skrzydlatych husarzy zajaśniały radością i ozwali się chórem: „Obowiązek nasz składamy na was, młodzi harcerska, a wraz z nim prawość ducha naszego i męstwo prawicy naszej."

I zmilki w ciemnościach nocy... Zdawało mi się przez chwilę, że słyszę jeszcze z oddali tętent rumaków, unoszących rycerzy...

— — — — — — — — —

Silniejszy podmuch wichru rozwiał moje widzenie... Spojrzałem wokoło—wszystko było, jak przedtem; białe płótna namiotów jaśniały w świetle księżyca, polana była pusta, jedynie drzewa szumiały tak potężnie, a melodyjnie, poważnie, a radośnie, jakby i one słyszały słowa rycerza i radowały się.

— — — — — — — — —

Przetarłem oczy. Tak — to było widzenie. A jednak słowa Chrobrego wyryły się w mej duszy niezatartemi zgłoskami.

Zrozumiałem w owej chwili, jaki zaszczytny, chociaż ciężki i odpowiedzialny obowiązek spoczywa na barkach naszych.

Zrozumiałem, żeśmy rodem rycerzy—na pokoju czas i czas wojny.

A. Nowak.

„Zapisujcie się na członków Ligi Obrony Powietrznej Państwa".

WYPRAWY POLARNE.

W dziejach ludzkości piękne karty zajmują wyprawy polarne. Piękne, bo złożyły się na nie wysiłki bohaterskie wielu ludzi i wiele pięknych czynów, wiele żyć ludzkich, poświęconych na ołtarzu nauki i sławy, na tych kartach się zapisało.

Trudno o wyższe przykłady bohaterstwa. Ludźmi, którzy szli na odnalezienie nowych dróg, na odkrycie bieguna lub na ratunek zaginionych poprzedników, nie kierował interes osobisty, ani chęć zdobycia bogactw.

Odwagę, tak bardzo nam zawsze imponującą, osiągano tam w najczystszej, rzec można — krystalicznej postaci.

Przyjrzyjmy się zatem dziejom tych wypraw i historjom takich ludzi, jak Franklin, Nansen, Scott, Amundsen.

Pierwsze próby.

Wcześnie się rozpoczynają dzieje wypraw polarnych. Już VIII wiek po Chrystusie jest świadkiem pierwszych podróży i wypraw na wyspy Hebrydzkie, Faroery i im sąsiednie, a dalej na brzegi Islandji przez Europejczyków przedsiębranych.

Różniły się jednak te podróże od późniejszych zarówno charakterem swym, jak i celem. Nie były to wyprawy kupieckie, ani celem ich była sława, jaką szczęśliwego odkrywcę nowych krain i śmiałego podróżnika historja zdobi, nie było też ich przyczyną szukanie przygód, lub żyłka awanturnicza.

Podróżnikami śmiałymi, co pierwsi na te pustynie śnieżne i mroźne zaszli, byli krzewiciele nowej, Chrystusowej wiary—mnisi i kapłani.

Odmienne były późniejsze wyprawy. Przedsiębrali je Wikingowie, do dziś dnia będący dla nas symbolem tężyzny, przedsiębiorczości, odwagi nieporównanej. Pędzeni naprzód żądzą przygód, a zmuszani nieraz do opuszczania swej ojczyzny z powodu jej przeludnienia, lub może w chęci uniknięcia kar za popełnione w kraju zbrodnie, docierają oni do Islandji (Ziemi Lodów), którą zdobywają, wypędzając spokojnych mnichów. Tu zakładają osadę Rejkjawik.

Stąd nieutrudzeni i nieustraszani w poszukiwaniu nowych przygód, żeglują w coraz dalsze strony, docierają do Zundu Lancastra, ziemi Balffina, zaczepiają nawet (na wiele lat przed Kolumbem) o wybrzeża Ameryki.

W czasie tych podróży odkrywają olbrzymią, w lodowy pancerz skutą, wyspę, której nadają—na pośmiewisko chyba — nazwę Grenlandji (Ziemi Zielonej). Zwiedziwszy jej pobrzeża, niezniechęceni zimnem i lodami, zakładają tam kolonję.

Osada ta przez parę wieków cieszy się nader pomyślnym rozwojem. Ubóstwo flory na ziemi, wynagradza ogromne bogactwo fauny oceanicznej. Stąd rozwój handlu. Dopiero w końcu XIII wieku despotyzm władców norweskich podciął, a „czarna zaraza” wkrótce potem zupełnie zabiła dobrobyt kolonistów grenlandzkich. W kronikach wieku XV już żadnej wzmianki o nich nie znajdujemy — wyginęli zapewne już wszyscy.

I-szy okres średniowiecza.

Pierwszy okres wieków średnich— to w historji wypraw polarnych karta niezapisana. Upadek kultury, przesądy, barbarzyństwo z jednej strony, a nieustanne wojny, zamieszki i walki, trzebiące ludność kontynentu i odsuwające jej zainteresowanie od dalekich i nieznanych, a śmiercią grożą-

cych wysp i krajów podbiegunowych — z drugiej ograniczyły poszukiwania żeglarskie i podróże do kilku małoznaczących wypraw.

II-gi okres średniowiecza.

Wiek XV jest wiekiem przełomowym. Odkrycie lądu amerykańskiego pobudza żeglarzy do nowych wypraw, a poszukiwanie przejścia do Indyj Wschodnich i Chin drogą północną, a więc wzdłuż północnych brzegów Ameryki, lub też północnych wybrzeży Syberji stawiają przed temi wyprawami realne napozór cele.

Kwestje przejścia północno-zachodniego, lub przejścia północno-wschodniego stają się osią, dookoła której obracają się wszelkie ówczesne projekty.

Rozpoczyna się nowa era w krajach polarnych, era wypraw niestrudzonych, niezwykle śmiałych — czasem lekkomyślnych, zawsze bohaterskich.

Wyprawy te właściwego celu swego nie osiągnęły, aczkolwiek bowiem odkryto same przejścia, ale przekonano się, że mowy być nie może o normalnych linjach komunikacyjnych tamtędy wiodących, a wiążących Europę z Indjami Wschodniemi.

Wyprawy te jednak odniosły inny, niebywałej wprost doniosłości, skutek. Oto zwróciły oczy Starego Świata na północ, zapoznały z krajami polarnemi, wypełniły większość „białych miejsc" na mapach geograficznych, dostarczyły nauce mnóstwa obserwacyj, doświadczeń i badań, zahartowały całe zastępy ludzi w walce z okrutną naturą polarną, potrafiły wkońcu poruszyć do głębi społeczeństwa kontynentalne, a nawet zespolić je niekiedy („wyprawy franklinowskie") we wspólnem usiłowaniu.

Przejdźmy jednak do samego przebiegu tych wypraw.

Początki, jak zawsze, nie były zbyt chwalebne, ani też owocne. Pierwsi pionierowie idei przejścia północno-zachodniego—ojciec i syn Cabotowie, acz z wielkim zapałem, ale z mniejszym skutkiem, wyprawiają się na zachód i docierają (na rok przed Kolumbem) do brzegów Ameryki, biorąc ją naturalnie za Azję. Wyruszają później: Thorn (po przez biegun do Chin!) i Frobisher, lekkomyślny, a niedoświadczony, „odkrywający" kopalnie złota (a naprawdę piryt) i marzący o ufortyfikowaniu Ziemi Baffina. A dalej, o wiele już poważniejsze, podróże Davisa i Hudsona; tego ostatniego podczas czwartej z kolei wyprawy zbuntowani majtkowie wrzucają wraz z synem do małej łodzi, w której obaj giną z głodu. Nieudane, a tragiczne wyprawy Munca, Foxa i Jamesa kończą ten okres poszukiwań.

Podobne koleje losu spotykają plany odnalezienia przejścia północno-wschodniego.

Pierwsze próby czynią trzy okręty, wysłane pod dowództwem Willonghby'ego, przez angielskie towarzystwo handlowe. Nowa Ziemia był krańcowym punktem, do którego zdołano dotrzeć. Po pewnym czasie lody z morza Karskiego wstrzymują wyprawy: Burrough'a, Peta i Jackmana. Z kolei Holendrzy przedsiębiorą szereg wypraw, a jedna z nich, pod kierunkiem Barentsa, zimuje, po raz pierwszy w dziejach, na Nowej Ziemi. Podobnie i dalsze przedsięwzięcia Holendrów, Anglików i Duńczyków nie odnoszą pożądanego skutku.

Taki był przebieg pierwszych prób. Niepokonane trudności i tragiczne przejścia wielu wypraw odstraszyły podróżników na długie dwa wieki.

(C. d. n.) *R.*

CO SŁYCHAĆ w Z. H. P.?

Ś. P.

Edward Kałuba

Członek Głównej Kwatery Męskiej Z. H. P.

Zginął w nurtach Wisły

w d. 17.5.25.

Ś. P.

Aleksander Zagórski

Ś. p. Aleksander Zagórski, urodził się 3.III. 1905 w Dyneburgu.

Chłopak, obdarzony wyjątkową inteligencją, wszędzie wybijał się przez swe zalety nietylko intelektualne, ale i charakteru.

Gdy rodzice przenieśli się do Święcian, wstępuje tam do Z. H. P., stając się jednym z organizatorów drużyny, którą prowadzi do czerwca 1921 r. Poczem był przybocznym tej drużyny do sierpnia t. r. W roku szkolnym 1921/22 będąc w V kl. gimn. J. Lelewela w Wilnie wstępuje do II Wil. Druż. jako szeregowiec. W czasie wakacyj prowadzi drużynę w Święcianach, chwilowo pełni obowiązki hufcowego. W czasie wakacyj 1923 r. zawiązuje zastęp „Kruków" w Nowo-Święcianach i prowadzi go do jesieni t. r. W roku szkolnym 1923/24 w miarę czasu dopomaga w pracy drużynowemu V-ej Wileńskiej Drużyny. W lecie 1924 wraz z drużyną święciańską bierze udział w I Narodowym Zlocie Harcerskim w Warszawie. Do jesieni prowadzi w Nowo-Święcianach założony przez siebie zastęp „Kruków". Od września 1924 r. przydzielony do 7-ej Wileńskiej Druż. Harc. im. Jakóba Jasińskiego, obejmuje utworzony przez Opiekuna Drużyny nowy zastęp „Kruków" i jest jednocześnie przybocznym tejże Drużyny. Na tem stanowisku wytrwał do końca, pomimo intensywnej pracy przedmaturalnej.

W chwili nieszczęśliwego wypadku znajdował się w pobliżu sprawcy katastrofy, należąc do grupy uczniów, na których skupiło się działanie granatu. Cała katastrofa, tak szybko nastąpiła, że trudno dziś stwierdzić, czy rzeczywiście ś. p. Zagórski, jak to niektóre pisma podały, rzucił się w obronie dyrektora. Koledzy zaręczyć nie mogą i dokładnie opisać nie potrafili. Faktem jest, że do trzymającego granat Ławrynowicza przyskoczyli Osmołowski i jeszcze jakiś uczeń (zdaje się Symonowicz) oraz, że w chwili wybuchu ś. p. Zagórski wraz z rannym Ławrynowiczem i ś. p. Domańskim był poza ławką, na której siedział, i w pozycji stojącej zabity został przez granat (nie zaś od kuli).

Dwie zasadnicze były cechy tego ducha. Był zawsze i wszędzie harcerzem czynu i zawsze promieniował na zewnątrz. Naprawdę, ktokolwiek i kiedykolwiek, przez krótki choćby okres czasu z Nim się zetknął i miał możność obcowania, ten wyczuwał tę jakąś promienistość i wzniosłość tej duszy, ulegał sile Jego oddziaływania, wchłaniając w siebie niejeden promień Jego duszy, myśli, zapatrywań, pragnień.

Całą duszą kochający prawdę, nigdy ani razu z nią się nie minął. Szczerze kochający Boga i Polskę, nigdy ani razu nie zaparł się swego pochodzenia białoruskiego i wyznania prawosławnego. Duszę całą tem więcej i goręcej kochał Polskę. To jedna z najładniejszych cech Jego charakteru. Czynem stwierdził, że nie wyznanie i pochodzenie stanowią o pracy dla Polski. Obowiązkowy i pilny należał stale do uczniów lepszych. Znany jest i kochany powszechnie na terenie Święciańskim, jako organizator, reżyser i aktor licznych przedstawień amatorskich najcelniejszych utworów naszej literatury dramatycznej. Talent miał niepospolity. Jak na amatora grał po mistrzowsku. Zawsze i wszędzie śpieszący z pomocą bliźnim, sposobności niesienia tej pomocy wyszukiwał. Każdą niewolę odczuwał silnie i odpowiadał na nią czynem, miłujący i kochający wszystkich. Chciał widzieć wszystkich dobrymi i sam dał dowód trwałości i ziszczalności wielkiej idei miłości chrystusowej. Subtelny, uprzejmy, delikatny w stosunku do innych, nigdy nikomu świadomie przykrości nie wyrządził. Takim znali go wszyscy. Prawdziwy rycerz bez zmazy. Gorąco miłujący przyrodę i wszystko to, co piękne. Całą swą duszę i uczuciem brał wszystko i wyrażał nieraz w bardzo nawet ładnych i z talentem pisanych wierszach własnych. Karny zawsze i wszędzie, był wzorem syna i podwładnego.

Usta Jego zawsze i dla każdego uśmiechały się tym Jego pogodnym, jasnym uśmiechem. Dobrze z nim było każdemu. Radością życia górował nad innymi, radością

pogodną i umiarkowaną, choć warunki życia miał ciężkie. Każdemu z kim się zetknął, niewątpliwie i raźniej i weselej robiło się na duszy. Wszystkie ciężkie myśli i przeżycia, umiał schować w sobie i dla siebie.

Pracował na siebie stale, troszcząc się o rodzinę, dla której pensja ojca była zbyt szczupła. Wiecznie zalatany i śpieszący z jednej korepetycji na drugą, ale uśmiechnięty i radosny. Oszczędzał na wszystkiem zbytecznem, a łożył tam, gdzie trzeba i z pożytkiem. Nie znał, co to brud. Czystym bez skazy pozostał do końca, widząc w innych tylko dobro.

Te właściwości jego charakteru, tak prawego i szlachetnego, same za siebie mówią. Niewielki był teren Jego działalności. Niewielu miało możność zetknięcia się z tą wyjątkową duszą. Ale w swojem gronie działał wiele i do końca. I ta jasna, świetlana, szlachetna, piękna dusza, ten prawdziwy Harcerz Rzeczypospolitej, wśród tych, co Go znali, promieniować będzie nadal.

Ponieśliśmy przez śmierć Jego stratę ogromną i my na terenie Wilna i Z. H. P., jako całość, i Rzeczpospolita, dla której pracować tak pragnął i tak dobrze byłby umiał.

WYJĄTKI Z LISTU DRUŻYNOWEJ I. Ż. DR. W CHARBINIE.

Chiny—Charbin, dn. 6 lutego 1925 r.

Hufiec Charbiński składa się z 3-ch drużyn: męskiej, żeńskiej i wilczków. Drużynowym drużyny męskiej jest druh Wiktor Dziatlik, przybocznym druh Władysław Pele. Drużyna jest podzielona na trzy zastępy i pracuje, mam wrażenie, dobrze. Drużyna wilczków pracuje dość energicznie i robi postępy. Drużynowym jest druh Symonolewicz Konstanty, przybocznym Teodor Tumicki. Są to moi koledzy, uczniowie VI klasy (gimnazjum im. H. Sienkiewicza).

Drużyna żeńska jest podzielona na 3 zastępy, a liczba druhen 27. Zastępy prowadzą druhny: Ligja Dziatlikówna, Marja Wilkówna i Andzia Rostanówna. Wszystkie te druhny są dość dzielne i energiczne, ale pomimo to drużynie naszej dużo zarzucić można. Ale nie jest to też i naszą winą, że drużyna jest w takim stanie, powinna ona mieć silną i dobrą opiekę. A my tego na nieszczęście nie mamy. Wprawdzie opiekuje się nami druhna kierowniczka Józefa Brudzewska, bardzo szlachetna i dobra druhna, która chciałaby dla nas wszystko zrobić, ale cóż, kiedy niema oddźwięku w miejscowym społeczeństwie. Musimy jakoś pracować same—a staramy się pracować inaczej i lepiej.

Teraz napiszę trochę o Charbinie, terenie naszej pracy. Charbin jest położony nad rzeką Sungan, która długością dorównuje naszej ukochanej Wiśle, do której tęsknimy. Ale ja nigdy nie zrównam cudzej, chińskiej Sungan z naszą Wisłą.

Charbin dzieli się na 3 główne części: Przystań, Nowe Miasto i Modziagan. Oprócz tych są jeszcze i przedmieścia, których już wyliczać nie będą z obawy znudzenia Was.

Koleją chińską zawładnęli bolszewicy, ale nie pokazują jeszcze tego, do czego są zdolni, bo boją się Chińczyków. Słyszałam że wszędzie w Rosji, także i podczas inwazji bolszewickiej w Polsce burzyli kościoły i cerkwie i wogóle prześladowali religję. U nas tego niema i jestem pewna, że nie będzie. A w razie czego, (niech Bóg broni) wystąpimy śmiało w obronie Marji i będziemy walczyć pod Jej sztandarem.

W Charbinie są 3 kościoły. W Nowem Mieście jest jeden, na Przystani drugi, a w Fadziadzianie (jak śmiesznie brzmi to słowo), gdzie mieszkają tylko Chińczycy — trzeci dla Chińczyków-katolików.

Nie wiem, czy wiecie, że dużo chińczyków nawróciło się na wiarę katolicką i przyjęło nauką Chrystusa, co bardzo mnie cieszy. Corocznie wszyscy katolicy urządzają wycieczkę do Fudziadzianu i zwiedzają tam kościół i chiński klasztor. Ponieważ procesja

taka w Chinach jest bardzo rzadkiem zjawiskiem, cały Charbin spogląda na nas z wielkiem zdumieniem. Fydziadziadziański kościół jest bardzo daleko, więc też wracamy do domu ogromnie zmęczeni. Jednakże dnia tego nie zamieniłabym chyba na harcerskie wycieczki. Bliskich wycieczek harcerskich—jakie często urządzacie w naszej ukochanej Ojczyźnie—robić nie możemy, bo niema gdzie, musimy więc chodzić hen, daleko za miasto, po 7—8 wiorst.

Ale robimy to chętnie i dość często. O, jak się cieszą druhny, gdy usłyszą, że za kilka dni będzie wycieczka, czują się wtedy w siódmem niebie. Prawda, jest się z czego cieszyć, bo co może być przyjemniejszego nad wycieczki, które są naszem jedynem urozmaiceniem życia. Szkoda, że nie możemy urządzić wycieczek na drugi brzeg rzeki, a nie możemy z dwóch przyczyn: ponieważ morze jest bardzo burzliwe i pochłania dużo ofiar i dlatego, że na drugim brzegu są chińscy rozbójnicy, zwani Chunchuzi. Chunchuzi są znani z tego, że łapią dzieci, a później sprzedają je do roboty. Dlatego niebezpiecznie jest jeździć daleko.

Mam do Was wielką prośbę. Proszę napisać coś o naszej kochanej Mateczce, bo mnie do niej bardzo tęskno i chciałabym choć cokolwiek o niej wiedzieć. Jeśli będziecie mogli przysłać mi jakąś pamiątkę, czy to kwiatek, czy listek z drzewa—czy co innego — to będę bardzo, bardzo wdzięczna.

Czuwaj!

Teofila Helena Buryszewska.

* * *

Druhny i druhowie! Mamy nadzieję, że zainteresują Was urywki tego niezmiernie ciekawego listu, który wędrował przez morza i oceany, zanim znalazł się u nas i opowiedział o losach dziatwy polskiej w Charbinie. Mamy nadzieję, że prośba druhny Buryszewskiej nie przebrzmi bez echa i że drużyny polskie w Charbinie otrzymają nie jeden, a cały szereg opisów polskich miast, wiosek i całego kraju—że ukażecie dzieciom polskim, oderwanym od Ojczyzny, złote polskie pola, lasy sosnowe, niebotyczne góry, ciche fale Baltyku. Nie jeden listek i kwiatek polski zobaczą harcerze w Charbinie — poczta przyniesie im kwiatów wiele i widoków miast polskich — całe szeregi słów gorących, serdecznych. Wyślijcie do nich urywki z kronik, opisy zbiórek, wycieczek, podzielcie się wrażeniami wesołych wydarzeń — a wyświadczycie ogromną przysługę rodzeństwu zza rubieży. Adres drużyny: Chiny—M-elle Teofila Buryszewska (o ile chcecie do drużyny częściej to — Monsieur Wiktor Dziatlik) 4 Glonka str. Polisch home —Charbin China via U. S. A.

Wydział IV. G. K. Ż.

JAK VI. W. DR. Ż. OBCHODZIŁA 3-ci MAJ.

Drużyna nasza postanowiła w tym roku obchodzić dzień 3-go Maja przez przysporzenie radości i wesołości dzieciom, które je niezawsze mają. To też w niedzielę popołudniu, zebrawszy przyrządy do gier, wyruszyłyśmy do Cyklodromu na Zagórnej, na Powiślu. (Po drodze utonęła jedna chorągiewka, jest to jednak szczegół mało znaczący, o którym właściwie wspominać nie warto). Zastałyśmy na podwórzu gromadę chłopców, zawzięcie grających w piłkę nożną, pomimo mżącego deszczu. Z tego jednak powodu narazie nie mogłyśmy z dziećmi przeprowadzić gier, więc po krótkiem oczekiwaniu zaproszone zostałyśmy na koncert dla dzieci w obszernej sali szkoły tamtejszej. Po krótkiej przemowie

prof. Kazury, chór odśpiewał pod jego kierunkiem szereg pieśni kaszubskich, następnie wysłuchałyśmy skrzypiec i rozmaitych pieśni ludowych i żołnierskich, wykonanych solo. Że zaś na sali znajdowało się kilku rybaków-Kaszubów, przeto prof. Kazura zwrócił się do nich z krótką, serdeczną przemową, która wywołała liczne oklaski i okrzyki i wytworzyła przyjazny, ogromnie swojski i dobry nastrój. W odpowiedzi na to jeden z nich wygłosił też w kilku słowach serdeczne podziękowanie gwarą kaszubską, na końcu zaś obiecał zgromadzonym dzieciakom, że jak przyjadą na Pomorze, to je przewiezie łódką. Naturalnie było wiele okrzyków i śmiechu i wśród przemiłego nastroju chór raz jeszcze odśpiewał wszystkie piosenki.

Po ukończeniu koncertu rozpoczęłyśmy gry z dziećmi na korytarzach. Na każdą drużynę wypadło mniejwięcej około 100-u dzieci; były one bardzo śmiałe i odrazu się do nas garnęły, tak, że gry szły doskonale i z wielkim animuszem. Urządzałyśmy wyścigi z piłkami, biegi i inne gry ruchowe, po ukończeniu których rozdałyśmy dzieciom pamiątkowe znaczki, co wywołało nadzwyczajne zadowolenie.

Że zaś deszcz przestał padać, więc urządziłyśmy jeszcze na podwórku „bramkową“, oraz gry bieżne, poczem, około 7-ej wróciłyśmy do domu, wesołe i zadzwolone, żeśmy w dniu święta narodowego dały tym dzieciakom dużo radości i poczucie, że jest to „ich” święto.

Czuwaj!

VI W. Dr. Ż.

HARCERSKI 3 MAJ W WARSZAWIE

wypadł niestety mniej uroczyście, niż w latach poprzednich. W defiladzie wojska i organizacji wyszkolenia rezerw wziął jedynie udział jeden oddział mieszany, złożony z harcerzy, odbywających specjalne ćwiczenia wojskowe. Wobec tego, że składali się nań członkowie różnych drużyn, a mundury były niejednostajne, oddział zewnętrznie prezentował się niepokaźnie.

Harcerze warszawscy są trochę zasmuceni nieudanym wystąpieniem, ale nie tracą dobrej miny i gorliwie gotują się do najbliższej defilady, która pokaże Warszawie, że chorągiew stołeczna nie tak bardzo podupadła. „Harcerz” również wierzy, że przy odrobinie starania dwa tysiące zuchów nietylko na wewnątrz w drużynie, ale i wobec społeczeństwa godnie będą reprezentować Związek.

W NASZEJ GROMADZIE „WILCZĄT“.

I. Zbiórka gromady.

Ciekawiście zapewne, harcerze, jak wygląda zbiórka gromady „Wilcząt”, tych wilcząt, które, gdy salutują Wam na ulicy rozszerzają szeroko dwa palce prawej ręki zamiast je trzymać razem, jak to Wy robicie. Robią oni tak dlatego, że te rozszerzone palce mają wyobrażać czujne na wszystko uszy małego wilka.

Ale wracajmy do zbiórki. Wilczęta, gdy wchodzą do izby harcerskiej, w której odbywa się ich zbiórka, witają swego zastępowego, „Starego Wilka”, takim właśnie ukłonem i okrzykiem „Czuwaj”, a później robią wielki hałas, bo wilczęta nigdy nie są cicho. Lecz jeden krótki gwizdek Starego wilka sprowadza momentalnie ciszę. Baczność! Pada komenda: „Do gromady!” i wilczki wnet otaczają swego zastępowego półkręgiem. A toż to musi być bałagan, pomyślicie. Otóż nie! Taki szyk nazywa się u nas „kręgiem gromady” i jest zasadniczym szykiem wilczęcym. Gromada składa się z dwóch lub trzech „szóstek”, na czele których stoją „szóstkowi” i „starsze wilczki”— ich zastępcy. Szóstka zawsze stoi w ten sposób, że na jednem jej skrzydle znajduje się szóstkowy, a na drugiem — starszy wilczek. Szóstki w gromadzie stoją półkręgiem według numeracji.

Gdy wilczki już stoją w kręgu gromady, stary wilk bierze do ręki laskę z chorągiewką gromady i rzuca rozkaz: „Wilczki, krąg rady!” Na tę komendę wilczki zamykają krąg dookoła zastepowego i na dany znak robią „wielkie wycie”, wołając „posta-

rajmy się, i t. d.", patrząc cały czas na swą chorągiewkę, którą zastępowy wznosi do góry. W ten sposób wilczki oddają cześć swemu sztandarowi.

Następnie robi się znowu krąg gromady, załatwia się różne sprawy administracyjne, jak sprawdzanie obecności i t. d. Później idzie śpiew. Ale nie myślcie, że wilczki tak samo śpiewają, jak Wy. Wilczki lubią rozmaitość, to też ich śpiew jest mieszaniną śpiewu, gwizdania, syczenia, mruczenia i oczywiście nie wszystko to naraz, lecz odpowiednio dobrane. Śpiewamy również harcerskie pieśni do marszu, zmieniając odpowiednio tekst, np.; „Bracia wilczki, dosyć kursu..." lub, „A kto chce rozkoszy użyć, do gromady idzie służyć...".

Gdy się już dosyć naśpiewamy znowu— „wilczki, krąg rady" — „w prawo zwrot" — „naprzód w trop". W naszym wilczęcym języku „w trop" znaczy „marsz". Idąc tak wokoło Starego wilka, wilczki powtarzają chórem w takt marszu swoje prawa: „Wilczek ustępuje staremu wilkowi. Wilczek jest nieustępliwy wobec siebie samego". O ile już wilczki złożyły przyrzeczenie wilczęce, powtarzają również jego tekst:

„Przyrzekam uczynić wszystko, co jest w mojej mocy, aby być wiernym Bogu, Ojczyźnie i Prawu wilczęcej gromady, aby codzień wyświadczyć komuś dobry uczynek". To chórem powtarzanie Prawa i Przyrzeczenia robi się na każdej zbiórce, żeby mieć je zawsze w pamięci.

Pada komenda—„rozejść się"—„wilczki, siadł"—i już wszyscy siedzą wokoło Starego wilka i słuchają gawędy. Tą gawędą może być jakieś opowiadanie historyczne lub z życia zwierząt, podania ludowe, urywek z „Księgi Puszczy" Kiplinga lub czegoś innego. Bywa też, że zastępowy mówi o tem, jakim wilczek być powinien, o Harcerstwie, i t. p. Gawęda trwa nie dłużej niż 15 minut.

Po gawędzie robimy t. zw. „taniec", zwykle odpowiadający treści gawędy. Tak naprzykład na ostatniej zbiórce przeczytał zastępowy humorystyczne opowiadanie przygody tygrysa z kapeluszem (z „Bajek" Sieroszewskiego), a po gawędzie wilczki zainscenizowały akcję z tego opowiadania.

Po tańcu o ile jest pogoda idziemy na podwórko, albo do ogrodu. W tym celu zastępowy robi krąg gromady, a następnie podaje komendę: „kierunek podwórko, gromada za pierwszym szóstkowym w trop!". Pierwszy szóstkowy, a za nim jego szóstka, idzie we wskazanym kierunku, drugi szóstkowy prowadzi swoją szóstkę w trop pierwszej. Na podwórzu robimy gry ruchowe, poczem jedna minuta głębokich wdechów i w tym samym porządku idziemy do izby.

W izbie zastępowy, rzucając odpowiednie pytania, sprawdza dotychczasowe wiadomości wilczków z dziedziny techniki wilczęcej, potrzebnej do stopnia I-ej lub II-ej gwiazdki, a więc; węzły, wywieszanie sztandaru, strony świata i t. p. Na zakończenie zwołuje wilczki do gromady i daje im zadania domowe, jak naprzykład; narysować plan pokoju, dowiedzieć się o rozkład jazdy danego tramwaju i t. p.

„Wielkie wycie" przy podniesionej chorągiewce, a następnie zwinięcie jej kończy zbiórkę.

Tak wygląda mniej więcej zbiórka w naszej gromadzie „Srebrnych Wilcząt", o tem jak wygląda u nas wycieczka napiszę następnym razem. Zapewne w innych gromadach jest inaczej, bo wilki różnią się od siebie. Niech Stare wilki napiszą. Zobaczymy.

Srebrny wilk.

z „Trzynastki" warszawskiej.

KĄCIK ZASTĘPOWYCH.

Energiczne zastępowe mają czasami skłonność wykonywania całej pracy i niepozostawienia biednym „dwójkom" pola do działania. Zastępowa i „dwójka" winny być przyjacółkami w innym stopniu, niż zastępowa i zastęp; powinny widywać się często i razem układać projekty, prowadzić zawody etc. Zastępowa, która wykonywa to wszystko sama, nigdy nie wychowa „dwójki" na prawdziwą współpracowniczkę i pomocnicę i nieraz straci dobrą okazję przez nieporadzenie się z nią. „Dwójka" czuje, że jest czemś więcej, niż zwykłą harcerką. Jakaż korzyść płynie z jej tytułu, jeśli nie wykonywa części kierowniczej roboty i nie odczuwa płynącej stąd radości. My, zastępowe możemy stworzyć pomocnice, lub „malowane lalki" z naszych „dwójek". Naturalnie, że każda z nas winna dążyć do pierwszego. Innym przy-

kładem złego stosunku tych 2-ch „władz“ zastępu jest taki zastęp, gdzie zastępowa robi mało i cały ciężar pracy spada na „dwójkę“. Zastępowym, które mają w swych dwójkach pomocnice, gotowe w każdej chwili zająć ich miejsce, należy się najwyższe uznanie, w tem bowiem leży klucz powodzenia całej pracy, tym zaś, które mają tylko „t. zw. dwójki“ należy poradzić, by jak najprędzej omówiły z niemi wszystkie sprawy zastępu i wezwały je do pomocy, a wkrótce staną one na wysokości zadania.

R. A.

REBUS KONIKOWY.

Z przytoczonych 64 zgłosek ułożyć urywek z „Pana Tadeusza”. Za najlepsze rozwiązanie tego zadania przeznacza redakcja, jako nagrodę, półroczną prenumeratę „Harcerza”.

Termin do 15 czerwca.

Pod	wał	dził	co	net	ob	za	chu
wstrzy	raz	lor	nić	dow	czy	kę	wie
się	cho	my	winie	i	cie	stką	to
spo	ksa	zmie	ne	się	cu	wał	prze
bo	ślicz	bli	a	bot	zgi	gdy	to
mit	zie	bę	nąć	dę	ten	i	sko
ne	al	mia	sko	do	to	by	po
rał	traw	wi	dzież	łoż	dej	wi	mak

ZGUBIONY GUZIK.

— Sądzę, że uda mi się z powrotem uzyskać plany! — powiedział stanowczo. Przedewszystkiem, ilu z pańskich współpracowników mogło otwierać i zamykać kasę?

— Żaden z nich! — fuknął zirytowany Roges.

— Przeciwnie, sądzę, że wszyscy — podkreślił Darrell. —Przy cierpliwości i staranności dowiemy się wszystkiego o tej kasie, czyż pan nie jest tego samego zdania? Ustępując pokusie, przecież każdy z pańskich urzędników byłby do tego zdolny, gdyby się tylko nadażyła sposobność.

— Niedorzeczność — wypalił iżynier.

— Niemniej jednak myślę, że był tu t. zw. przez policję domowy złodziej — ciągnął Darrell. — Przecież, z wyjątkiem jednego błysku światła, który go zdradził, złodziej przez cały czas działał w zupełnych ciemnościach. Kradzież w takich warunkach nie mogła być dokonaną przez obcą osobę. Również trzeba rozważyć sposób ucieczki! Starszy wartownik mówił panu, że zbieg zniknął przy kotłowni. Wszystkie normalne wyjścia były obstawione i — jedynie możliwą była droga przez kotłownię i połączoną z nią budką zwrotniczego. Nikt panie, obcy nie odważyłby się tam wejść!

Sir Roges powątpiewająco wzruszył ramionami

— Przypuszczenie pana ma jednak pewien sens, kogo pan zatem podejrzewa i co pan zamierza robić.

— O której godzinie pańscy urzędnicy wychodzą na drugie śniadanie? — zapytał Darrell.

— O 12.30 — krótko odpowiedział inżynier — powracają o 2-iej.

Darrell wyjął z kieszeni kamizelki duży guzik od palta.

— To jest podstawa mego działania, — tłumaczył — został on zgubiony przez złodzieja ostatniej nocy!

— Z pewnością ten ostatni zauważył jego nieobecność — bąknął Roy.—W chwili obecnej jest on już napewno zamieniony przez inny.

— Czy jest to jakiś specjalny typ guzików—zapytał Roges i ciekawie spojrzał na trzymany przez Darrella guzik.

— Przeciwnie, bardzo pospolity, łatwo zamienny typ—wesoło odpowiedział detektyw. — Fakt ten niezmiernie podnosi jego wagę. Przed chwilą przeglądałem palta, wiszące w szatni. Było tam dziewięć palt, z których sześć miało takie same guziki.

— Z pańskiego rozumowania wynika, że sześciu na dziewięciu moich urzędników, znajdzie się pod zarzutem kradzieży, — powiedział ironicznie inżynier.—Pan prawdopodobnie również stwierdził, że wszystkie palta miały normalnie guziki!

— Naturalnie! — odpowiedział pewnie Darrell. — O dwunastej jednak udam się znowu do szatni i od każdego z sześciu palt odetnę po jednym takim guziku.

— Mówisz pan, panie Darrell, jakbyś był obłąkanym. Nie wypowiadam jednak jeszcze swego ostatecznego zdania, dopóki masz pan nadzieję odzyskania planów — powiedział Roges.

Powróciwszy zaraz po drugiej do gabinetu inżyniera, Darrell oznajmił Royowi, że większość odciętych guzików została już zastąpiona przez inne analogiczne.

— Czy jest pan zadowolony ze swojej sztuki?—zapytał złośliwie inżynier, wydając równocześnie na prośbę Darrella polecenie wezwania do gabinetu kolejno wszystkich podejrzanych urzędników.

Pytania detektywa były krótkie i identyczne co do treści. W ręku zaś trzymał on stale znaleziony poprzedniej nocy guzik.

— Czy to jest pański guzik—pytał.—Czy też może pan wie, z czyjego palta został on oderwany?

Rozmaite stopnie zdziwienia, malujące się na twarzach urzędników, mogłyby zabawić niejednego. Roy i Roges zrozumieli fortel Darrella, dopiero po otrzymaniu przez tego ostatniego pierwszej odpowiedzi.

Oczy inżyniera błyszczały radośnie. Dokładnie zdał on sobie sprawę z drażliwej pozycji, w jakiej musiało postawić złodzieja pytanie Darrella. Wiedząc, że zgubił on guzik w nocy podczas kradzieży, dołoży wszelkich starań, aby nie dać pytającemu jakiejkolwiek podstawy do supozycji jego winy.

Zastępując zgubiony guzik przez inny podobny, mógł, on oczekiwać, że wszelki ślad przestępstwa został zatarty. Skoro zatem spostrzegł brak guzika, celowo odciętego przez Darrella przed śniadaniem, z pośpiechem zastąpił go przez inny, obawiając się, aby przypadkowy wypadek nie mógł stać się podstawą do powiązania jego osoby z kradzieżą, która inżynierowi wydawała się tak trudną do wykrycia.

Z drugiej strony wszyscy niepoczuwający się do winy urzędnicy, chociaż uznają pytanie Darrella za dziwne, nie będą mieli powodów do zaprzeczenia własności guzika, widząc zaś go podobnym do tego, jaki zgubili rano, zażądają bez wahania jego zwrotu.

— Tak, to jest mój!—oświadczył pierwszy.—Zgubiłem dzisiaj taki sam guzik, ale podczas drugiego śniadania matka przyszyła mi inny.

— Dziękuję panu, — odpowiedział ze spokojem Darrell.—Chociaż jest on podobny, nie jest to pański guzik.

Po wyjściu urzędnika inżynier zwrócił się do Darrella ze szczerym podziwem. Ależ to jest znakomity plan — powiedział z przejęciem.

Następnych dwóch urzędników powiedziało mniej więcej to samo, co pierwszy, i Darrell odesłał ich bez zwłoki. Dalszych dwóch nie zauważyło zguby guzika, wysłani jednak do szatni, celem sprawdzenia stanu swoich palt, powrócili z żądaniem oddania im guzika.

— Dziękuję panu, ale ten guzik nie jest pana — znowu każdemu z nich odpowiadał Darrell.

Szóstym i ostatnim urzędnikiem był Robert Wentron, dobrze zbudowany mężczyzna w średnim wieku. Jego śmiałe i pewne ruchy wyraźnie odbijały od kłopotliwego wahania tych, którzy wchodzili przed nim. Z zupełnym spokojem spojrzał on na guzik, trzymany przez dedektywa.

— Nie, panie, to nie jest mój guzik — stwierdził stanowczo.

— Czyż guziki na pana palcie nie są identyczne? — nastawał Darrell.

—Jest to przecie bardzo pospolity rodzaj guzików! — rzekł Wentron.

— Proszę się udać do szatni i obejrzeć swoje palto — dorzucił inżynier.—Możliwe, że pan zgubił guzik i jeszcze pan tego nie zauważył.

Po dwóch minutach Wentron powrócił do gabinetu.

— Tak, jak sądziłem, wszystkie guziki przy mojem palcie są na miejscu—oznajmił. Bezwątpienia byłbym zauważył, gdyby któregoś z nich brakowało.

— Zatem w danej chwili nie mamy już nic do powiedzenia panu—oświadczył z flegmą Darrell. Urzędnik wycofał się do biura.

— Mamy Wentrona w naszem ręku! — powiedział dedektyw, skoro inżynier skierował na niego niespokojne wejrzenie.

Czyż naprawdę? — zapytał zirytowanym głosem Roges.—Dlaczegoż zatem, do djabła, nie aresztowaliście go?! Teraz napewno, porównawszy wszystkie zadane urzędnikom pytania i odpowiedzi, Wentron domyśli się, że mamy go w podejrzeniu.

— Gdybyśmy go byli natychmiast aresztowali, bylibyśmy się napewno skompromitowali — tłómaczył Darrell, ponieważ skradzione plany napewno dobrze zostały przez niego ukryte, o ile on ich dotychczas nie sprzedał. Przedewszystkiem musimy się dowiedzieć, gdzie się one znajdują. Proszę o adres Wentrona.

Po otrzymaniu żądanego adresu, Darrell zwrócił się do Roya:

—Zadaniem twojem będzie śledzić Wentrona, aż do dalszych rozkazów. Ten ostatni spodziewa się śledzenia i zrobi wszystko, aby zmylić naszą czujność.

ROY NA TROPIE.

Było po piątej, kiedy Royowi polecono udać się za podejrzanym. W przyzwoitej odległości podążył on za Robertem Wentronem aż do № 64, Atterby Street, — był to adres, podany Darrellowi przez inżyniera. Przeszło godzinę chłopak oczekiwał w pobliżu, wreszcie, gdy się zupełnie ściemniło, Wentron wyszedł na ulicę i skinął na przejeżdżający taksis.

Wentron zbliżywszy się do szofera, przyciszonym głosem wydał mu instukcje. W pobliżu nie widać było żadnego pojazdu, to też Roy musiał działać szybko. Skoro samochód ruszył z miejsca, uczepił on się z tyłu samochodu, słusznie mniemając, że Wentron jedzie niedaleko. Pozycja, w jakiej się znajdował Roy, była zarówno niebezpieczna, jak i niewygodna, to też chłopak był szczerze uradowany, gdy samochód zatrzymał się.

Dedektyw zaczekał, aż jego kljent zapłaci szoferowi i dopiero wówczas zeskoczył, gdy Wentron skierował sie w boczną, wąską uliczkę. Nauczony poprzedniem doświadczeniem nie pobiegł on wprost za Wentronem, lecz pospiesznie zabiegł mu drogę inną, równoległą ulicą.

Idąc naprzód Roy z radością spostrzegł spieszącego za sobą Wentrona, który stale rzucał za siebie trwożliwe spojrzenia. „Prawdopodobnie jest on mocno zdenerwowany", pomyślał Roy.

Wreszcie, widocznie zadowolony z tego, że nikt go nie śledzi, Wentron począł posuwać się swobodniej. Roy stwierdził, że śledzony urzędnik posuwa się w kierunku składu lokomotyw. I — chwila zdziwienia i triumfu—skierował się do bramy. Fabryka

lokomotyw — co to być może? Czyż plany są tam jeszcze ukryte.

Ulica była zupełnie pusta i Wentron więcej się nie wahał. Zaledwie zniknął w bramie, Roy pędem pobiegł w tymże kierunku. Nie docenił on jednak przebiegłości Wentrona, który skrył się właśnie w cieniu za drzwiami. Roy, wbiegając do bramy, spostrzegł ruch spadającego ramienia i w następnej sekundzie poczuł bolesne uderzenie żelaznym prętem.

To Wentron, poznawszy w ostatniej chwili, że jest ścigany, uznał za jedyne wyjście użycie gwałtu. Tę drogę istotnie wybrał, a, uwolniwszy się w ten sposób od Roya i stwierdziwszy, że ten został tylko ogłuszonym, pospiesznie skierował się do kotłowni. Wartownik przy bramie nie zatrzymał go, również mało potrzebował obawiać się grupy robotników z nocnej zmiany siedzących w czytelni, przez którą musiał przechodzić.

Idąc w kierunku kotłowni, czuł dreszcze, jakie wstrząsały całem jego ciałem. Niewyraźne w ciemnościach kontury kotłów wydały mu się podobnemi do jakichś przedhistorycznych potworów, grożących mu zagładą. Całym wysiłkiem woli powstrzymywał się od wydania okrzyku przerażenia. Uspokoiwszy się nieco, począł posuwać się naprzód w kierunku napół ustawionego zbiornika, stojącego w rogu.

Raz potknął się o jakiś przedmiot, leżący na ziemi; hałas stąd powstały wydał mu się przerażającym. Wreszcie po kilku minutach dotarł do upragnionego celu. Zagłębiwszy drżącą rekę w kotle, przez jakiś czas szperał w nim, wreszcie z wesołem westchnieniem triumfu i ulgi wydobył paczkę, którą tam schował poprzedniej nocy.

Mniej więcej w tym samym czasie Roy odzyskał przytomność. Razem z nią do twarzy jego napłynęła fala wstydu, że tak łatwo dał się wyprowadzić w pole. Zerwawszy się z zawrotem głowy pobiegł w kierunku kotłowni, pamiętał bowiem, że tam właśnie zniknął Wentron poprzedniego dnia.

Kotłownia była pogrążona w ciemnościach. Nagle oczy Roya olśnił silny blask elektrycznego światła. Zatrzymawszy się na chwilę w wielkich drzwiach budynku, spostrzegł on na środku sali Wentrona, który nerwowo przyciskał do piersi skradzione papiery. Zęby jego szczękały z przerażenia; zdawało się, że lada chwila zemdleje.

Pomiędzy nim, a Royem stał mężczyzna w brudnej, robotniczej bluzie, w ręku jego lśniła stalowa lufa pistoletu, skierowana w piersi złodzieja.

— Darrell — zawołał zdumiony Roy. Detektyw jednak ani na chwilę nie spuścił bacznego wzroku z twarzy złodzieja.

— Czy to ty, Roy?—zapytał. — Zamknij zatem drzwi!

Przez chwilę zdawało się, że Wentron w rozpaczy szydzi z pistoletu. Nagle natężone jego nerwy odmówiły mu posłuszeństwa i z ciężkiem westchnieniem upadł na ziemię.

— Zabierz plany, Roy! — polecił spokojnie Darrell. — Ja zaś sprawdzę jeszcze, czy jest on naprawdę chory.

* * *

Następnego dnia w gabinecie głównego inżyniera Darrell wyjaśniał szczegóły.

— Goniony pierwszej nocy Wentron, obawiając się, aby go nie pochwycono z planami, był zmuszony ukryć je. Dokonawszy tego, oddalił się z terenu fabrycznego. Dalszem zadaniem było zabranie ukrytych planów. Nie odważył się on tego zrobić w dzień, kiedy w kotłowni pracowali robotnicy. Dla ustalenia faktu kradzieży musiałem złapać Wentrona z rzeczowemi dowodami w ręku—ciągnął detektyw.—Próba z guzikami, chociaż wiele nam mówiąca, mogła nie wystarczyć sądowi.

— Miał on obiecaną ogromną sumę pieniędzy przez agentów kompanij zagranicznych—dodał p. Roges. — Wyznał, że żądza pieniędzy była silniejszą od jego woli.

— Byłem przekonany, że skoro tylko Wentron spostrzeże, że jest podejrzany — opowiadał Darrell—postara się pozbyć jak najprędzej niebezpiecznych dla siebie planów. Spodziewałem się również, że ukrył je pierwszej nocy, gdzieś w pobliżu. Z tego też względu wysłałem Roya, aby go pilnował, wiedząc, że Wentron będzie tego oczekiwał. Roy mniemał, że pozostawiłem go samego w pilnowaniu — Wentron prawdopodobnie sądził to samo. Dlatego też, załatwiwszy się z Royem, czuł się zupełnie bezpieczny. W tym samym czasie przebrałem się za robotnika i zasiadłem w kotłowni. Resztę panowie już wiecie.

— Jednem słowem użył mnie pan za przynętę—smutnie zauważył Roy. Detektyw, śmiejąc się, skinął głową.

— Pozostaje zatem sprawa pańskiego honorarjum, p. Darrell,--zauważył p. Roges.— Może pan być zupełnie pewny, że nasze Towarzystwo potrafi panu należycie się odwdzięczyć. Ja ze swej strony najserdeczniej przepraszam, że zbyt pochopnie osądziłem pańskie zdolności.

— Ależ drobnostka—grzecznie przerwał detektyw.

KONIEC.

Adres redakcji: Warszawa, Al. Ujazdowska 37 m. 12.

Wydawca: *Naczelnictwo Związku Harcerstwa Polskiego.* Redaktor: *T.Uhma.*

Druk. p. f. „LECH“, Sp. z o. o., Koszykowa 33, Tel. 403-66.